



Głosy i glosy w 1. rocznicę śmierci Jana Błońskiego

Aleksander Fiut

O Janie Błońskim – „kilka myśli co nienowe”

Wysoki, postawny, z czupryną niesfornych, z lekka siwiejących włosów, z twarzą wiecznego dziecka, błyskający przenikliwym spojrzeniem spoza okularów, z trochę ironicznym, trochę dobrodusznym uśmiechem na twarzy, zawsze niezwykle starannie ubrany z zachodnioeuropejską elegancją – był dla nas, jego uczniów, na tle peerelowskiej szarzyzny barwnym rajskim ptakiem. Jego charakterystyczny chichot, którym znenacka rozbrajał powagę wywodu, jakby trochę chciał pokpić z siebie, trochę, dobrodusznie, z rozmówcy, wprawiał niejednokrotnie – zwłaszcza tych, co go nie znali – w lekką konsternację. Być może maskował w ten sposób wzruszenie, jakie towarzyszy temu, co najbliższe sercu. Tym właśnie była dla niego literatura, o której potrafił mówić z przykuwającą uwagę pasją, popierając błyskotliwe opinie żywą gestykulacją. Błyszczał niesłychaną inwencją intelektualną, ale również erudycją, która czerpała z dwóch źródeł równocześnie: znakomicie dwujęzyczny, czytany

zarówno w literaturze polskiej, jak i francuskiej, potrafił budować między tymi literaturami zaskakujące, ulotne pomosty.

*

Jeden z ostatnich przedstawicieli tradycji przedwojennej inteligencji, prawdziwie kosmopolitycznej, dla której polskość nie oznaczała poczucia degradacji czy wstydliwie i uparcie maskowanego kompleksu niższości, lecz była naturalnym, niezbędnym fragmentem mozaiki narodów i kultur całej Europy. Odznaczał się wyrafinowanym gustem i wybrednym smakiem, natychmiast odróżniającym prawdziwą wielkość od jej pozoru. Gardzący blichтром, z nieukrywaniem obrzydzeniem odnoszący się do przejawów toporności uczuć, myślowego prostactwa i pewnej siebie głupoty. Nie przypadkiem w eseju o Tangu skreślił tak celny portret polskiego chama. Nie bez powodu także – o czym wymownie świadczy jego korespondencja z Mrożkiem – tak dotkliwie, boleśnie przeżywał w okresie PRL wszędobylskie kłamstwo, ostentacyjną pogardę dla jednostkowej suwerenności, intelektualną trywialność propagandy, rozpaczliwą miłość życia, następującą stopniowo degradację kultury i rozpad dawnych wzorów cywilizacyjnych oraz jawną i ukrytą przemoc. Jak Mrozek stawał przed dręczącym dylematem: żyć w zniewolonej ojczyźnie czy wybrać wolność i emigrację. Wybrał Polskę. Pozostał lokalną wielkością, choć był uczonym na światową miarę. Jego książki nie zostały przełożone na inne języki. Późny i wielki rozgłos przyniosło mu dopiero, wydane po angielsku, studium *Biedni Polacy patrzą na getto*.

*

Był smakoszem literatury, ale także smakoszem życia. Kiedy raz rozplątałem się nad niedoścignionymi zaletami francuskiej kuchni, stanowczo się sprzeciwił: „Nie masz racji – kuchnia włoska także jest znakomita. Te kluseczki!”. Do dziś widzę towarzyszący tym słowom wyraz rozanielenia na jego twarzy. Często też chodziliśmy razem na kremówki, które uwielbiał. Ale te niezapomniane spotkania nie były bynajmniej czczą kawiarnią paplaniną. Pod spojrzeniem jego przenikliwych oczu wewnętrznie stawałem na palcach, starając się choć trochę sprostac stawianym przezeń

wysokim wymaganiom. Trudno przecenić, ile mu zawdzięczam. Bez niego z pewnością nie byłbym, kim jestem. Pozostał moim, niedoścignionym, mistrzem – obok Kazimierza Wyki, Henryka Markiewicza i Czesława Miłosza.

*

Pamiętam salę 30 w Collegium Novum wypełnioną po brzegi studentami i studentkami zasłuchanymi w jego błyskotliwe wywody o Schulzu, Leśmianie, Eliocie. Miał odwagę, w 1975 roku, wygłosić wykład, w którym – pod pretekstem nakreślenia paraleli dwóch nurtów w dwudziestowiecznej polskiej poezji – czytał i analizował emigracyjne wiersze Czesława Miłosza. Wykład ten (który miał odmienić moje życie), ukazał się drukiem – wpierw w „Miesięczniku Literackim”, a później w tomie *Romans z tekstem pt. Bieguny poezji*. Była to jedna z pierwszych prób przełamania wymuszonej zмовы milczenia wokół przyszłego noblisty. Nie podpisywał listów protestacyjnych, nie angażował się w działalność opozycyjną. A przecież jego wykłady i seminaria zawierały wyjątkowo silny ładunek burzący: elementarny szacunek dla dobra, prawdy i piękna.

*

Na Uniwersytecie Jagiellońskim sprawował szereg bardzo ważnych stanowisk: był wieloletnim dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej, prorektorem uczelni w najtrudniejszym nie tylko dla niej okresie – bo w czasie stanu wojennego. Wówczas umiał zdecydowanie zaoponować przeciwko panoszeniu się komisarzy WRON oraz odważnie stanąć w obronie szykanowanych studentów. Później pełnił funkcję kierownika Katedry Dramatu. Ale swoją pozycję w środowisku, rozmaite zaszczyty, stopnie naukowe i sprawowane urzędy brał zwykle w ironiczny nawias. Potrafił po Gombrowiczowsku rozbroić każdą zanadto pompaticzną formę. Pamiętam, jak w Auli Uniwersytetu Jagiellońskiego, podczas uroczystej promocji doktorskiej Józefa Opalskiego, ubrany w uniwersytecką togę, przechylił się nad pulpitem i z patosem zagrzynał: „Doctore Clarissime!”. Po czym przerwał i sponad okularów spojrzał

z rozbawieniem na swojego ucznia, który z nadludzkim wysiłkiem usiłował w tym momencie zachować, przystojną miejscu i sytuacji, powagę.

*

Budził prawdziwe zgorszenie partyjnych kolegów ostentacją, z jaką uczestniczył z całą rodziną w akademickiej mszy św. w kościele św. Anny. Jawne okazywanie religijnych przekonań, a także przyjaźń, jaka łączyła go z redaktorami wydawnictwa Znak oraz „Tygodnika Powszechnego”, były jedną z przyczyn celowego opóźniania przez władze jego kariery naukowej. Pomimo doskonałego dorobku naukowego, porywających wykładów i powszechnego podziwu oraz szacunku, jakim się cieszył wśród większości kolegów i studentów, pozostawał „wiecznym docentem”, podczas gdy znacznie późniejsi od niego szybko awansowali. Stało się zatem w naszym środowisku milcząco przyjętą normą, że tytułowaliśmy go profesorem, choć tytuł ten oficjalnie uzyskał dopiero w okresie „Solidarności”.

*

We wszystkim, co pisał, pozostawał nade wszystko znakomitym pisarzem. Trudno się oprzeć wrażeniu, że dzieła, które poddawał starannej analizie, stanowiły dlań jedynie kanwę zasadniczych roztrząsań nad zawiłą tajemnicą ludzkiej kondycji. Dlatego dobierał je niezwykle starannie, kierując się zwykle nieomylnym słuchem literackim. Mistrz antytezy, wprowadzał myśl w ciągły ruch, w stan poszukiwania i niesłabnącego nienasycenia. Jego styl kipiał wewnętrzną energią, nieustannie prowokował i pobudzał do refleksji. W swoich romansach z rozmaitymi tekstami był niezawodnym, wrażliwym i kompetentnym przewodnikiem, ale oczekiwał także żywego odzewu odbiorców. Stąd w jego stylu tyle retorycznych pytań, wykrzykników, wielokropków i myślowych pauz. Najlepiej czuł się w nieustannym dialogu: z dziełem, z czytelnikiem, wreszcie z własnym „ja”. Wszędzie tam, gdzie gotowe formuły musiały zostać poddane próbie prawdziwości, aktualności oraz norm etycznych, ale również – zdrowego rozsądku, gdzie rozmaite stanowiska dziwiły się sobie, a nowoczesne metodologie wspierała w bojach o ukryte znaczenie tekstu tradycyjna, pocziwa filologia.

*

Był naturą głęboko religijną, ale jego wiara zdawała się być naznaczona ukrytym dramatem, którego ślady wyśledzić można w jego tekstach. Może dlatego szczególnie pociągali go autorzy przeżywający głębokie religijne rozterki – jak Sęp-Szarzyński, Baczyński czy Miłosz, rozdarci wewnętrznie agnostycy – jak Leśmian i Gombrowicz, cierpiący na metafizyczne nienasycenie – jak Witkacy i Schulz. Ci, co – jak Baczyński, któremu poświęcił piękny esej pod wymownym tytułem Pamięci anioła – potrafili się złu oprzeć, składając siebie w całopalnej ofercie, ale także ci, co – jak Genet – zostali złem dogłębnie skażeni. Albo – jak Proust – szukający swego rodzaju odkupienia w dziele sztuki i w samym akcie kreacji.

*

Pod maską ironii, humoru, a nawet błaznowania ukrywał, podejrzewam, jakąś ciemną tajemnicę, bardzo bolesne wewnętrzne zranienie. Być może wyniesione z okresu okupacji, oglądania rozpętanego zła oczyma wrażliwego nastolatka. Opowiadał mi, że widział płonące getto warszawskie oraz kręcącą się pod jego murami w Wielkanoc 1943 roku karuzelę, opisaną przez Miłosza w Campo di Fiori. Wspominał także swój tuż-powojenny pobyt w Toruniu. „Wiesz – opowiadał – niemal zaraz po zakończeniu wojny miasto zaczęło żyć naturalnym rytmem: pootwierano sklepy, pełne towarów, urzędy, wszystko powracało pomału do normy. Ale to bardzo szybko się skończyło, gdyż władzę objęli ludzie najgorszego autoramentu.”

Może dlatego tak przyciągał jego uwagę element demoniczny ukryty tyleż w pojedynczym człowieku, co w całej historii, roztrząsany przez najwybitniejszych filozofów, teologów i pisarzy? Może z tego powodu był tak dalece, alergicznie wręcz uczulony na podszepty nihilizmu? Nie przypadkiem napisał cykl, drukowanych w „Tygodniku Powszechnym”, esejów pt. Diabeł w polskiej literaturze powojennej, wnikliwej analizie poddając rozmaite wcielenia Księcia Ciemności m.in. w dziełach Miłosza, Gombrowicza, Jarosława Marka Rymkiewicza, ale także Gogola i Bułhakowa. I nie bez powodu, swoje studium o Traktacie poetyckim Miłosza zakończył deklaracją, że jego dalszy ciąg napisze: „jeśli Bóg pozwoli, a diabeł nie skreśli”. Diabeł, niestety, skreślił. Dalszy ciąg jego pisania i jego życia.

Aleksander Fiut